

Kamień powoli wtacza się pod górę. Każde drgnienie utrwała mięsień, ale kręgosłup wciąż ten sam, w kształcie niezmiennym już od lat tysięcy, o ile tylko można przeliczyć czas z czwartego na wymiar trzeci.

Syzyf obraca się plecami do głazu i teraz wspiera go na barkach. Wie, że to nie wystarczy, więc mechanicznie wyciąga obie nogi przed siebie i naciąga do oporu atletyczne ścięgna.

Przerwa na papierosa.

Z kieszeni lewi'sów wyjmuje paczkę fajek i wsadzając jednego do ust, rozgląda się wokół, obejmując granicami widzenia niebo i ziemię. Najpierw wyostrza wzrok, wpatrując się w odległe miejsce, gdzie ziemia styka się z niebem. Robi tak codziennie, za każdym razem po kilka minut gimnastykując oczy, w nadziei, że kiedyś wreszcie dojrzy wyraźną, ostrą, grubą linię, która przetnie te dwa światy i położy kres ich nudnemu mezaliansowi.

Potem spogląda na dół. Tam zawsze coś się dzieje, a jednak zwykle woli patrzeć jak śnieżne chmury przesuwają się po błękitach. W dół patrzą tylko ludzie bez ambicji – stwierdza Syzyf, po czym jeszcze raz spuszcza głowę. Tam, gdzie camusowska dzuma niszczy wszystko wokół dla pewnej przyszłości. I widzi ludzi, jak chodzą w górę i w dół – prawo, lewo, tam, z powrotem, dzień w dzień tak samo i tak przez sto lat lub wieki wieków, jakkolwiek długo to trwać będzie i on będzie trwać i jego kamień i te wszystkie drogi, które wciąż bez wyjątku prowadzą do Rzymu, tylko na coraz bardziej pokrętne sposoby.

Syzyf rzuca niedopałek, który stacza się po stromym zboczach w kierunku doliny. Jak roznieci pożar, zmieni imię na Prometeusz. Ale nigdy nie roznieca, choć tak bardzo pragnie. Role jednak przydzielono wcześniej. Dlatego Syzyf wciąż pragnie i wtacza kamień, a Prometeusz podaje mu ogień w czasie przerwy na szluga.

- Nie robię nic innego jak ci ludzie w dole – szepcze Syzyf, po czym znowu kładzie ręce na kamieniu.

Syzyf nie myśli o kobietach. Kiedyś mu się zdarzało. Robił sobie te krótkie przystanki, zupełnie takie jak dziś, wyciągał chustkę i przecierał spocone czoło. Z biegiem lat jednak przestał się pocić, a chroniczne zmęczenie wkradło się w miejsce wyjściowego stanu błogiego wypoczęcia. Niemniej, wtedy, tysiące lat wcześniej, każdy kolejny krok w górę był dla Syzyfa walką o przetrwanie i wszystkie swoje myśli koncentrował na przeniesieniu nogi choć kilka centymetrów wyżej. Dopiero kiedy zatrzymywał się odsapnąć na chwilę, przetrzeć krople potu spływające wartkimi strumieniami po zmęczonej twarzy, dopiero wtedy ciało i myśli Syzyfa rozgrzewały wyobrażenia tych wszystkich obłądnych cipek, które stracił bezpowrotnie tam na dole, w gardle doliny. Więc chował prędko kawał przeпоconego płótna pod rzemyk sandała i brnął dalej pod górę. W ten właśnie sposób mógł znów odetchnąć z ulgą, zapominając na moment o waginach, skupiony na każdym kolejnym metrze, który rzucał mu wyzwanie.

Ulgę przynosił zawsze moment zejścia. Kiedy kamień znów staczał się ze szczytu, powracały nie-

bezpieczne myśli. I Syzyf czuł, że eksploduje, jeśli nie zaspokoi dzikiej żądzy. Więc dłoń szła w ruch – raz, drugi, trzeci – ile zdążył w czasie godzinnej wędrówki w dół stromego stoku, którą przedłużał jak tylko było to możliwe, aby nie rozgniewać bogów. A czas, jak na złość, prędko uciekał przed nim, tak że po chwili Syzyf znów musiał stanąć naprzeciwko kamienia, u stóp potężnej góry.

Olimp współczuł jednak Syzyfowi. W końcu nawet Zeus, nie mogąc dłużej znieść oglądania jego żalości, zszedł na ziemię i na zboczu góry wybudował mały burdel. Następnie poszedł do Syzyfa i powiedział mu:

- Słuchaj, Syzyf, może i jestem sukinsynem, ale mam dość serca, żeby uważać, że każde cierpienie ma swoje granice. Daję ci więc pięć minut na załatwienie swoich potrzeb, za każdym razem kiedy zejdziesz z góry.

Syzyf nie posiadał się z radości. Chwycił za kamień i natychmiast pomknął z nim w górę. Kiedy tylko wtoczył głaz na szczyt, pozwolił mu zlecieć na dół, a potem rzucił się za kamlotem ile sił w nogach, a mimo że biegł jak mógł najszybciej droga zdawał się być dłuższa niż wcześniej.

I tak za każdym razem Syzyf wtaczał kamień, a potem gnał za nim, prześcigając go nierzadko, dla pięciu minut erotycznych uniesień. Dzięki temu nauczył się wkrótce nowych miar czasu (minuta nie była wszak pojęciem znanym za życia Syzyfa) i prędko zdał sobie sprawę, że tam na dole – to nie jest już świat, który zna.

Trwał ten schemat lat dziesiątki, może nawet wiek lub dwa. Z czasem Syzyf stracił nieco zapału, zbiegał z góry truchtem, w końcu schodził, włókł się znów powoli. Któregoś razu zszedł na dół i stanął przed drewnianą chatką, licząc sekundy, które zwykle uciekały jak szalone, a teraz tylko przemieszczały się leniwie. A on stał i patrzył beznamiętnie. Jeszcze zanim regulaminowe pięć minut dobiegło końca, położył dłonie z powrotem na kamieniu i zaczął od nowa.

Wkrótce po tym, burdel ogłosił plajtę. Zeus nie interweniował, interes już od dawno mu się nie opłacał. Przekłeta ekonomia, przekłety wolny rynek...

Gdyby Syzyf utrzymywał kalendarz, z pewnością zapamiętałby rok 1848. Tamtej zimy Zeus znów ruszył swoje tłuste od ambrozji dupsko z Olimpu i przyszedł do Syzyfa. Minę miał nietęgą, głos mu się łamał.

- Od dzisiaj pracujesz dwanaście godzin – powiedział. – Podziękuj kolegom z Paryża.

Syzyf chciał zapytać „Z czego?”, ale życie nauczyło go pokory, więc ucieszył się tylko niezmiernie (po raz pierwszy, odkąd pamiętał), uściśnął Zeusa jak ojca i długo dumał, co zrobić z całym tym czasem. Wreszcie przypomniał sobie, że kiedyś zdarzało mu się spać.

Usiadł zatem oparłszy plecy na gliniastej skale, gdyż wydawało mu się, że tak właśnie trzeba. Ale nie mógł zasnąć, zapomniał już jak należy to robić. Leżał długo na zboczu góry, przewracając się z boku

na bok, bez większego powodzenia. W końcu wstał, oparł dłonie na kamieniu i po chwili był już w drodze na szczyt.

Po kilkunastu latach Zeus wyjrzał z Olimpu, żeby przypatrzeć się pracy Syzyfa. Widząc że mężczyzna znowu pracuje bez chwili wytchnienia, zszedł szybko do niego i mówił:

- Syzyf, kurwa, co ty odpierdalasz?! Związki zawodowe mnie zajebią, jeśli się o tym dowiedzą! Dałem ci przecież dwanaście godzin wolnego - nie masz co robić z czasem?!

Syzyf popatrzył mu w oczy. Kiedyś miały barwę błękitu, ale z czasem zmieniły kolor w kierunku stali.

- Wtaczam kamień. Co innego mogę robić z tym twoim czasem?

Jakieś sto lat później (gdyby Syzyf prowadził kalendarz, zapamiętałby datę 12 grudnia 1948 roku), Zeus zszedł na ziemię z trzema podwładnymi. Ci postawili na zboczu góry małą prycę z wygodnym materacem i pościelą, a na szlaku kilka biurowych dozowników z wodą. Zeus wręczył mu natomiast bochenek chleba, parę levi'sów (trzy lata później, po premierze „Tramwaju zwanego pożądaniem” Elii Kazana przyniósł też t-shirt a la Marlon Brando) i buty do trekkingu.

- Nie musiałeś... - zaczął Syzyf.

- Luzik. Odpiszę sobie od podatku.

Syzyf wciągnął spodnie na nogi i założył buty.

- Zasznurowuj.

- Co takiego?

Zeus popatrzył politowaniem na jego bezradną twarz, po czym ukląkł i zawiązał mu sznurówki.

- Żeby trzymały się na nogach – wyjaśnił.

Stali tak przez chwilę w milczeniu.

- Co to jest?

- Chleb.

- Co mam z nim zrobić?

- Zjeść.

- Rozumiem.

Tylko cichy szelest wiatru podtrzymywał rozmowę. Zeus wyciągnął z kieszeni paczkę Lucky Strike'ów i odpalił jednego.

- A to co?

- Papierosy.

- Mogę?

- Bierz.

Zeus wyciągnął zapalki, po czym zaśmiał się cicho.

- Pomyśleć, że to wszystko dzięki Prometeuszowi – powiedział. - Chyba potraktowałem go trochę za ostro... Kiedy zapalę zapalkę, wciągniesz powietrze w płuca.

Szyf wciągnął mocno powietrze, a po chwili odkaslnął głośno i wypluł papierosa.

- To niedobre.

Zeus znów śmiał się szczerze. Raz jeszcze wyciągnął z kieszeni fajki i wepchnął całą paczkę Syzyfowi do kieszeni dzinsów.

- Będę tu wracać co miesiąc. Muszę przywozić ci świeże jedzenie, wymieniać butelki w dozownikach, zmieniać pościel... Kto wie, może do tego czasu zmienisz zdanie.

- Nie robię nic innego jak ci ludzie w dole. Jestem nieśmiertelny – tylko to mnie od nich różni. Tylko to. Tylko tyle.

Gdyby po tych wszystkich latach Syzyf umiał jeszcze płakać, łzy płynęłyby mu teraz po policzkach. Ale łzy jak pot, uszły z niego razem z duchem. Zostało jedynie ciało, żywa materia, twarda i sucha jak kamień, który w ciągłym ruchu nie miał okazji obrosnąć mchem.

- Czas. Wszystko rozbija się o czas - stwierdził Syzyf dawno temu, kiedy wreszcie zdał sobie sprawę, że dla niego przestał on istnieć. A jednak był zakładnikiem czasu i wiedział, że wcale nie różni go to od innych. A jednak...

Przerwa na papierosa.

Jeszcze jedna. Wypala już ponad paczkę dziennie, a na miesiąc ma tylko trzy wagony przydziału.

Szyf patrzy w dół. Tam jakaś matka właśnie przewija dziecko, żeby wkrótce wyrosło na ojca. Ojciec znów wychodzi do pracy o siódmej, przez osiem godzin stuka po maszynie lub jeździ samochodem z Rzymu, po Rzymie i do Rzymu, a o czwartej wraca do domu, stykany jak wół. I skądś czerpie siłę, żeby

pobawić się z dzieckiem, obejrzeć telewizję, pojechać na zakupy, zaspokoić potrzeby żony. Pomimo że każdy dzień wycieńcza go coraz bardziej, znajduje w sobie moc, by kręcić tym kołem i pchać je ku szczytom.

- Nie robię nic innego jak ci ludzie w dole – szepcze Syzyf raz jeszcze. - Jestem nieśmiertelny, tylko to mnie od nich różni. Tylko to. Tylko tyle. A jednak... Chciałbym być jak oni.

Chciałbym, żeby moje cierpienie też się kiedyś skończyło.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Tukas, dodano 27.05.2010 08:03

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.